

# Rozdział 1

*Nie wszystkie godziny twojego życia  
muszą przynosić efekty.  
Może zadbaj najpierw  
o subtelne tęsknoty swojego serca.  
Poczytaj książkę.  
Och, tak! Poczytaj.  
Czytanie książek nas zmienia.  
Ich pisanie również.*

Hiszpańska koronka i krój syrenki nigdy nie wychodzą z mody – pomyślała, zapatrzwszy się na fotografię, która mimo upływu dekady wyglądała równie dobrze, jak wówczas gdy chwaliła się nią przyjaciółkom. Jakże one jej zazdrościły. Nie, nie tej sukienki, chociaż może i trochę też, ale w głównej mierze ich emocje koncentrowały się na czymś innym. A raczej na kimś innym.

Westchnęła, chociaż obiecała sobie tego nie robić, i jakby na zawołanie przykleiła do twarzy wystudiowany

uśmiech, dzięki wieloletnim ćwiczeniom wyglądający na tyle naturalnie, że bez trudu zostałyby zatrudniona jako modelka do zdjęć reklamujących gabinety medycyny estetycznej. Zmierzyła długie blond włosy, zauważając gdzieś srebne kosmyki, i niemal równocześnie złapała za kalendarz, by wcisnąć gdzieś w napięty plan życia wizytę u fryzjerki. Zofia Wolant-Abramowicz, dla współpracowników po prostu Wolant, nie należała do trwoniących czas. Dla niej znaczenie miała każda sekunda. Może właśnie dzięki dyscyplinie duchowej, jaką na co dzień zachowywała, udawało jej się godzić życie osobiste z zawodowym? W każdym razie nad tym zastanawiała się jej przyjaciółki, których nie miała wiele.

– Mamo, mam, zobacz! – Julka podskakiwała obok okna, ekscytując się tym, co widzi na zewnątrz.

Zofia, pochłonięta planowaniem, nie zwracała uwagi na córkę.

– Mamo, no chodź! – Dziewczyna pociągnęła ją do lśniącego czystością, mimo trwającej w pełni zimy, okna.

Kalendarz Zofii upadł na podłogę. Wyćwiczona, niczym najlepsza aktorka, zdołała ukryć swoje niezadowolenie z tego powodu.

– Niezły, co? – powiedziała dziewczyna z zachwytem. W jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki zawsze rozczulające matkę. – Mamo! W życiu nie widziałam piękniejszego. Podoba ci się?

– Ale co ma mi się podobać?

– Jak to co? Samochód Mayerów. Musi mieć z milion pięćset sto dziewięćset koni mechanicznych. Jak taki przygrzmoci z rury, to... Brr! – Niespełna osiemnastolatka

udawała, że siedzi za kółkiem. Wydawała z siebie dźwięki imitujące warkot silnika, przemieszczając się po łączonym z jadalnią i kuchnią salonie.

Zofia podniosła z podłogi kalendarz i ponownie zajęła się planowaniem.

– Powiedz Leonowi, żeby ci taki kupił. No powiedz, powiedz, proszę. – Nastolatka złożyła dłonie jak do modlitwy, jak miała to w zwyczaju, gdy chciała uzyskać coś z pozoru niemożliwego.

Zofia przewróciła oczami.

Dopiero narobiłabym sobie wrogów, jeżdżąc czerwonym porsche – pomyślała, lecz nie powiedziała tego na głos. Zamiast tego, najdelikatniej jak tylko umiała, zwróciła Julce uwagę, że ta nie powinna nazywać jej męża Leonem, lecz tatą. Wszak nie kto inny, jak właśnie on, był ojcem dziewczyny najbardziej.

Sama nie wiedziała, dlaczego to robi. Może z chęci zachowania pozorów? Stanowili przecież taką piękną i przykładną rodzinę. Elegancka ona, wpływowy on, ten ich dom za tak zwane miliony monet i długonoga kopia swojej matki, Julia – idealny obrazek. Byli niczym kadr z amerykańskiego filmu. Rysę na szkle stanowiło tylko jedno drobne „ale” i właśnie to „ale” Zofia zamrażała w swoich myślach, nie chcąc spojrzeć prawdzie w oczy.

Bo po co coś zmieniać? Bo dobrze jest, jak jest. Bo inni mają gorzej – myślała, uśmiechając się prawie zawsze i prawie do wszystkich. Uśmiech nic nie kosztował, a maskował najlepiej. Wydawało się, że Zofii nie przeszkadza to, że w gruncie rzeczy zamknięta jest w złotej klatce. Tylko czasami łapała się na tym, że czuje przerażenie,

iż zaczyna się w tej klatce kokosić, zakopując gdzieś odwagę, z której zasłynęła, gdy zmuszona była uciekać tak, jak stała, od biologicznego ojca swojej jedynej córki. Dziś była inną Zofią niż ponad dekadę temu. Niż wtedy, kiedy powstało jej ślubne zdjęcie z „księciem” Leonem.



### *Kilka dni później*

Dlaczego wolę cierpieć, zamiast wyrazić jasno i spokojnie swoje zdanie? – zastanawiała się Zofia, wpatrując się ślepym wzrokiem w okazałych rozmiarów szafę, gdzie w równych rzędach wisiały jej markowe, niepotrzebne do szczęścia sukienki.

Zdawało się, że kiedyś, bez tych wszystkich dodatków, miała w sobie więcej radości niż teraz, a już na pewno była spokojniejsza. Nie potrzebowała tego wszystkiego, bo i po co? Jako tłumaczka literatury i tak większość czasu spędzała w domu pochylona nad powierzonymi jej tekstami. Była w niej pewnego rodzaju dwoistość. Choć uwielbiała swoje spokojne życie z kubkiem herbaty w dłoni, a jeśli miała do wyboru huczną imprezę albo wyspanie się, to zawsze wybierała to drugie, jednak gdzieś z dna jej serca wynurzała się tułacza dusza, pragnąca od czasu do czasu wsiąść do byle jakiego pociągu i wyruszyć daleko, w siną dal, by z zaciekawieniem obserwować innych ludzi.

Leon, jej drugi mąż, znał jej pragnienia i spełniał je ostatnimi czasy z niezwyklej hojnością. Tyle że... no

właśnie. Potrząsnęła głową, rozbudzając wzrok, i skupiła się na tym, aby wybrać odpowiednią na ten wieczór sukienkę. Najchętniej zostałaaby w domu, zrobiła sobie kubek gorącego kakao i w ciszy pooglądała jakiś serial dokumentalny, ale wiedziała, że jeśli odmówi mężowi towarzystwa, ten jednym grymasem twarzy sprawi, że będzie się czuła jeszcze gorzej.

IWatch zawibrował na jej dłoni, rzuciła więc okiem na wyświetlacz, po czym odczytała wiadomość.

*Cieszę się, że będziecie. Obiecałam sobie,  
że tym razem będę mówiła mniej 😊*

Napisała to Justyna Mayer.

Zofia nie uwierzyła w obietnicę sąsiadki, Polki, której wystarczyło kilka lat na emigracji, aby z Majewskiej stać się Mayerową. Chociaż nie chciała jej oceniać, bo przecież co jej do tego, to jednak ta zmiana nazwiska z polskiego na niemieckie powodowała w niej niesmak. Nie przepadała za sąsiadką, lecz tęsknota za ojczystym krajem i możliwością porozmawiania w języku polskim była dla Zofii tak silna, że spotykała się ona z ludźmi, którym w innych okolicznościach z pewnością nie podarowałyaby swojego czasu.

– Jesteś gotowa, skarbie? – zapytał Leon, wsunawszy głowę między drzwi a futrynę. Wystraszył ją. – Wszystko w porządku?

- Tak, tak. Po prostu zamyśliłam się.
- Ślicznie wyglądasz.
- Dziękuję.

Mąż zmierzył ją od stóp do głów, podziwiając brązową krótką sukienkę z falbankami, która leżała na niej jak na najlepszej modelce.

Mimo zbliżającej się magicznej czterdziestki Zofia nie wyglądała na swój wiek. Prowadziła bardzo higieniczny tryb życia. Wysypiała się, medytowała, była aktywna fizycznie, zwracała uwagę na to, co i ile je, i wybierała tylko taką literaturę, która jej zdaniem wzmacniała ją od wewnątrz. Gdyby popatrzeć na Zofię z boku, cisnęło się na usta tylko jedno słowo: „ideał”. A jak powszechnie wiadomo, przebywanie w otoczeniu tego typu ludzi nie należy do łatwych. Chociaż nigdy nikomu nie powiedziała złego słowa i dla wszystkich starała się być tak życzliwa, jak to tylko możliwe, ludzie odsuwali się od niej. Była jak słońce – ściągała blaskiem, a potem parzyła bijącym od siebie nadmiernym ciepłem. Bywały momenty, że nie mogła sobie z tym poradzić. Wówczas, jak większość kobiet, płakała w poduszkę.

– Czy mogę cię o coś prosić, skarbie? – rzuciła do męża, szcزتkując swoje długie włosy.

Wyglądał na zadowolonego. Włożył błękitną koszulę i musiała przyznać, że wraz z upływem czasu podobał jej się coraz bardziej. Fakt, że w ciągu ostatnich miesięcy ubyło mu kilka kilogramów, z pewnością się do tego przyczynił.

– Oczywiście, prosz, o co tylko chcesz – zachęcił, wiążąc krawat.

No już, już, odwagi – popędzała siebie w duchu. Czas zdawał się dłużyć, gdy patrzyła na męża. Chciała mówić, a jednak słowa grzęzły na języku, za żadne skarby nie chcąc opuścić bezpiecznej przestrzeni gardła.

– Zosiu? Wszystko w porządku?

Zacisnęła zęby, aby nie zauważył jej trzęsącej się brody. Splotła dłonie za plecami, nie mogąc zapanować nad palcami skubiącymi skórki przy paznokciach.

– Chodzi o to, że... No dobrze, powiem wprost. Czy mógłbyś nie pić dzisiejszego wieczoru? – wyrzuciła z siebie, nie mogąc uwierzyć, że jednak jej się to udało. Strach przed zadaniem pytania znikł, ustępując lękom związanym z otrzymaniem odpowiedzi.

Leon zastygł w bezruchu. Zofia oblała się zimnym potem.

– Ależ oczywiście, skarbie – uśmiechnął się sztucznie. – Przecież wiesz, że jesteś dla mnie najważniejsza. Jasne, że nie będę pił – powiedział, po czym podszedł do niej, by zamknąć ją w pełnym ciepła uścisku. Pocałował ją w szyję, policzek, a na końcu w usta.

Pachniał tak jak na pierwszej randce albo jeszcze piękniej. Przymknęła powieki, zaciągając się wonią jego perfum, na których nigdy nie oszczędzał. Wezbrała w niej błogość.

Jest dobrze – pomyślała, czując pod powiekami palące łzy. – Jest dobrze.



– Wchodźcie, wchodźcie. Nareszcie jesteście. Zosiu, jak ty pięknie wyglądasz. Co za figura! Ty nawet w zimowym płaszczu masz widoczną talię. Już wszyscy są, czekaliśmy tylko na was. Wiesz, Zosieńko, tak jak ci napisałam, obiecałam sobie, że dziś nie będę się za wiele odzywać.

– Justyna gestem dłoni zamknęła usta na niewidzialny klucz i wyrzuciła go za siebie.

Zofia uśmiechnęła się do gospodyni najcieplej, jak to możliwe, po czym puściła Julkę przodem.

– Julia, daj kurtkę. Zresztą, po co wam kurtki, przecież tak blisko macie do nas. Ino przez ulicę. Trzeba było przyjść w kapciach.

– Moja żona miałaby przyjść w kapciach? – zdziwił się Leon.

– Ach, tak, Leoś. Masz rację. Zosia zawsze taka perfekcyjna. Ona nawet śmieci wynosi w pełnym makijażu.

Z melodii słów Justyny biło sarkazmem, lecz zdawało się, że jedynie Zofia to zauważa.

Gospodyni zaprosiła ich do salonu, gdzie grała głośna muzyka wydobywająca się z trzech elektrycznych gitar.

– To nasi przyjaciele z Polski – powiedziała, wskazując na gitarzystów. – A to nasi sąsiedzi, również Polacy. – Machnęła w stronę Zofii, Julki i Leona.

Zofia uśmiechała się, potakując głową i próbując zapamiętać imiona nowo poznanych. Julia, jak to zwykle ona, bujała w chmurach zajęta własną wyobraźnią. Natomiast Leon odłączył się od swoich pań, podszedł do mężczyzn i ściskając ich dłonie, chichotał głośno. Zofia przyglądała się mężowi z oddali i nawet cieszyło ją, że jest w ich rodzinie ktoś, kto nie ma najmniejszych problemów z nawiązywaniem kontaktów.

– Usiądź, Zosiu, o tutaj może? – Justyna wskazała wolne miejsce.

Zofia usiadła, a obok niej usadowiła się Julia, plądrując wzrokiem wszystko, co gospodyni ustawiła na stole. A było na co patrzeć. Śledzie w śmietanie, bigos, swojska wędzina z prawdziwej wędzarni, sałatka jarzynowa,



koreczki i kilka rodzajów ciasta. Sernik, karpatka, jabłecznik, ciasto czekoladowe – jednym zdaniem: prawdziwa uczta, jak przystało na polską panią domu z krwi i kości.

– Wszystko wygląda pysznie, Justynko. Napracowałam się – powiedziała Zofia, próbując zatuszować zachowanie córki, która jako pierwsza rzuciła się na te smakowitości.

Justyna machnęła nonszalancko dłonią, co miało oznaczać, że to nic takiego, a siedzący po drugiej stronie stołu Leon zmierzył Julię spojrzeniem pełnym złości.

Zofii zrobiło się gorąco. Musnęła delikatnie ramię nastolatki i najciszej, jak tylko potrafiła, oraz najdyskretniej, jak to tylko było możliwe, zwróciła córce uwagę.

– Nie objadaj się tak zachłannie, słoneczko, proszę. To nie wygląda dobrze.

Zdziwiona Julka odłożyła sztucę na obrus, plamiąc go olejem od śledzia i nie powiedziała nic, gdyż w zasadzie nie rozumiała, o co matce chodzi.

Po prawdzie Zofia nie widziała problemu w zachowaniu córki. Dziewczyna była głodna, to jadła. Dało się wy czuć, że jej apetyt nawet sprawiał przyjemność gospodyni. Ale wzrok Leona...

– Och – jęknęła bezwiednie.

Leon bezgłośnie niemal darł się na dziewczynę: „Co ty wyprawiasz? Dlaczego się obżerasz, jakbyś jedzenia na oczy nie widziała?! Może byś tak poczekała, aż inni zaczną. Nie myśl tylko o sobie...” i tak dalej, i tak dalej.

Zofia знаła wszystkie te zarzuty na pamięć i po mistrzowsku żonglowała własnym zachowaniem, starając się uniknąć nieporozumień między córką a mężem.

Wciąż podsycala w sobie nadzieję na to, że w ich rodzinie zagości w końcu upragniony spokój i nikt do nikogo nie będzie miał bezpodstawnych pretensji.

– Julia, czemu nie jesz? No jedz, jedz – rzuciła Justyna przez stół, zauważywszy, że nastolatce jakby odebrało apetyt.

Zachęcona przez nią Julia ponownie złapała za sztucce i zaczęła pałaszować. Leon znów patrzył na pasierbicę ze złością, a znajdującej się między młotem a kowadłem Zofii z nerwów spłynęła po plecach stróżka zimnego potu. Chcąc ugasić pożar złości, uśmiechnęła się do męża. Chciała go jakoś udobruchać, lecz ni jak jej to wyszło. Mężczyzna nawet nie spojrzał na żonę. Ot i tyle w kwestii nawiązania nici porozumienia. Zofia odepchnęła od siebie myśl o zmęczeniu nastrojem męża. Gdyby sobie na nią pozwoliła, prawdopodobnie z wściekłości wylałaby mu na głowę gorący barszcz, który właśnie pojawił się na stole.

Impreza zaczęła nabierać tempa. Pani domu nie dotrzymała słowa w sprawie milczenia, jakie obiecała na wstępie, i z minuty na minutę, wraz z ilością wysokoprocentowego trunku, jaki w siebie wlała, zabawiała siedzące obok kobiety szczegółami ze swojego życia osobistego. W trakcie zabawy w karaoke, gdzieś między jedną a drugą próbą zaśpiewania bez fałszu piosenki *Boskie Buenos*, Justyna opowiedziała Zofii o tym, jak jej mąż, Benek, zdradził ją przed laty i jakże to ona, nie chcąc mu zostać dłużną, odplaciła mu, jak to się mówi, pięknym za nadobne.

– Ale wiesz, Zosiu – wybełkotała – w pewnym momencie zrobiło mi się nas żal. Nie masz pojęcia, jak

bardzo się kłóciliśmy. Raz to nawet dywan chciałam nożyczkami na pół przeciąć – zachichotała nerwowo.

– Dywan na pół? Ale dlaczego? – zdziwiła się Zofia.

– Jak to dlaczego? Aby zabrać swoją część. Nie myślisz chyba, że zostawiłabym mu cokolwiek z naszego majątku. Tak ciężko na niego zasuwalam. Spójrz tylko na moje ręce. – Zamachała dłońmi przed oczami Zofii. Faktycznie były zniszczone. Nie ratował ich nawet świeżo wykonany bordowy manikiur. W porównaniu z dłońmi Zofii, dla których największym brudnym wyzwaniem było obieranie kartofli i mycie okien, dłonie sąsiadki wyglądały tak, jakby większość swojego życia pracowały w polu, grzebiąc się w gliniastej ziemi.

– Kiedy on się szlajał, ja na rynku stałam. W mrozie, deszczu i śniegu, dźwigałam ciężkie kartony. Tylko Teresa mi pomagała. Moja mała Teresa. Tak się cieszę, że wyrosła na ludzi – westchnęła Justyna, rzuciwszy okiem na stojące na kominku zdjęcie swojej wówczas nastolatki, a dziś dorosłej już córki. – Ty wiesz, ile nas to kosztowało? – kontynuowała uzalanie się. – Gdybym go tak nie kochała. Ech... ale co, miałam ot tak zrezygnować z wielkiej miłości? Myśmy wszystko razem przeżyli. Jak przyjechaliśmy do Kulmbach, nie mieliśmy nic. Kompletnie nic, Zosiu. Nie to, co teraz. – Rozejrzała się po pięknej, nowoczesnie urządzonej willi.

Zofia westchnęła, musnąwszy spracowane dłonie sąsiadki, chcąc dodać jej otuchy tym gestem. Justyna wypila zaledwie kilka kieliszków, ale to wystarczyło, by Zofia po niespełna godzinie miała pełen przegląd sytuacji rodzinnej, zawodowej i finansowej rodziny Mayerów.